7777

REJESTR DOTYCZY:

GOERTZ Aleksander-Bolesław

s/c ..... i Marii .....

z d. Skrzynska

* 26 wrzesn. 1921 w Stanisławowie

kraj: Małopolska Wschodnia

-+ trag.21 maja 197o w Londynie

kraj: U.K.

pochowany: KANADA

nr grobu: .....

Nr rejestracyjny

3o2 / 7o

Nota zamieszczona:

w tomie .....

czesci .....

Suplement r.1970

Indeks

Copyright: 1970
B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy

Uwagi:

PIECHOTA - por. rez. /1946/

Nota:

Przypisy:

i córka
~~550~~ syn w Kanadzie

~~166~~
184

Źródła i bibliografia:

znak rozpoznawczy

Dziennik Polski 26.5.197o - nekrolog /ojciec w Londynie, żona,córka i syn w Kanadzie /	18/26.V.7o/
"Wiadmosci" nr 1264,21.6.197o - nekrolog rodziny i przyjaciół	5o/nr 1264,21.VI.7o/
Wiadomosci rm1279 z 4.1o.7o - wspomnienie oraz arytykoł Al. Goertza " Woda Żywa"	5o/nr 1279,4.X.7o/
"Piechota" zeszyt 17.50 - dca plut. pion. 21 b.p. we Włoszech, s. 51 pp r. dca komp. 22 b.p.	243/zeszyt 17.50 i 51/
Ewidencja oficerow b. biura gen Andresa - uzup. datą i mies. urodz.	4o4

Nr 1264, 21st June, 1970

26.V 70 Ś. † P. 302

ALEKSANDER BOLESŁAW GOERTZ

ur. w Stanisławowie 1921, więzień sowiecki, por. 2 Korpusu WP, kierownik działu rach. Uniwersytetu w Kanadzie, zmarł śmiercią tragiczną w Londynie 21 maja 1970. Pogrzeb odbędzie się w Kanadzie.

O dniu nabożeństwa żałobnego ukaże się oddzielne zawiadomienie.

Pogrążeni w smutku

OJCIEC W LONDYNIE
ŻONA, CÓRKA I SYN W KANADZIE

5546

Ś. † P.

ALEKSANDER BOLESŁAW GOERTZ

ur. w Stanisławowie w r. 1921, więzień sowiecki, porucznik II Korpusu Wojsk Polskich, kierownik działu rachunkowości Uniwersytetu w Windsor, Ontario, Kanada, zmarł śmiercią tragiczną w Londynie 21 maja 1970. Został pochowany w Kanadzie.

Pozostali w smutku
RODZINA I PRZYJACIELE

Ś.P. ALEKSANDER GOERTZ

Wspomnienia pośmiertne na łamach pism są przywilejem „figur publicznych". Niedawno tragicznie zmarły Olek Goertz taką figurą nie był. Był on naszym kolegą, dobrym i kochanym, o żywej inteligencji, słonecznym poczuciu humoru i szczerym, otwartym sercu rodaka z kresów wschodnich. Losy wojny rzuciły nas razem i związały blisko i mocno.

Tak się złożyło że Olek — młodziutki, świeżo wypieczony podporucznik — wpadł między nas, starszych od niego i wiekiem i stopniem. Musiało to obudzić w nas jakieś drzemiące ojcowskie uczucia, bo adoptowaliśmy go z miejsca, jako młodszego brata, beniaminka. Opiekowaliśmy się nim w pewnym sensie, zachęcając go do nauki — z błyskotliwymi rezultatami — służąc mu niejednokrotnie razowym chlebem doświadczenia życiowego — a nawet i serdecznym współczuciem, gdy męczył się w cierpieniach młodego Werthera, które każdy z nas w jego wieku przechodził.

Po wojnie życie rozgoniło nas po świecie, ale związek między nami, mieszkańcami wspólnych namiotów i kwater we Włoszech, utrzymał się żywy. I listowny i nawet — od czasu do czasu — osobisty.

Olek osiedlił się w Kanadzie, może i dlatego że kanadyjskie świerki i jodły przypominały mu drzewa jego stron rodzinnych: Huculszczyzny, doliny Prutu, Jaremcza...

★

Śmierć, czyjakolwiek — chociaż śmierć jest właściwie jedynym pewnikiem na tym świecie — zawsze nas zaskakuje. Może to natura ludzka wzdryga się przed nieubłaganym wyrokiem przemijania. Jeszcze, gdy odchodzi ktoś ze starszego pokolenia, godzimy się z tym — acz niechętnie — jako ze zjawiskiem smutnym, ale normalnym. Gdy jednak umrze ktoś w sile wieku — i to w tragicznych okolicznościach — do żalu dołącza się i wstrząs, i bunt. Przypuszczalnie, śmierć widziana z tamtej strony muru, ukazuje swój teologiczny i teleologiczny sens. Widziana z tej strony jednak, często wydaje się tak niepotrzebna i złośliwa jak jakiś ponury dowcip.

Olek odszedł właśnie teraz, kiedy życie — po wielu trudnych latach — zaczęło mu się wreszcie uśmiechać. Gdy w wyniku ciężkiej pracy osiągnął wysokie kwalifikacje zawodowe i uzyskał wysokie, odpowiedzialne stanowisko. A także, gdy — wypłynąwszy wreszcie na spokojne wody ustabilizowanej egzystencji — mógł też poświęcić się swej życiowej ambicji: pisaniu. I tak oto na krótko przed swoją śmiercią uzyskał Olek ostrogi współpracownika „Wiadomości" — a więc i tytuł do tego wspomnienia na łamach pisma.

Kilka łamów dalej w tym samym numerze, znajduje się pierwszy i ostatni plon tej jego pracy.

Żegnaj, kolego serdeczny z namiotu w Italii, żegnaj przyjacielu i krajanie z Czarnohory. Niech Ci kanadyjskie świerki szumią równie przyjaźnie, jak i te, które tak dobrze znałeś — na szlaku od Jaremcza do Kamienia Dobosza.

Romuald Chudzikowski.

ALEKSANDER GOERTZ

WODA ŻYWA

ZASUSZONA GAŁĄZKA MIMOZY w książce. Cóż za cholerny banał! Ale działa. Przymykam oczy, gwiżdżę po cichu „Symphonie" i już jest. Tamto lato. Czuję jego smak, zapach... I oczywiście ten dzień ostatni.

Siedzimy z Bianką w jej salonie. Na dworze upał, w mieszkaniu prawie chłodno. Żeby ciągle nie patrzeć na nią, zadzieram głowę i patrzę w poplamiony zaciekami sufit. Plamy są brudno-żółte, zachodzą jedna na drugą i całe sklepienie wygląda jak mapa jakichś bardzo podłych okolic.

— Okropny ten nasz sufit — mówi Bianka.

— Całkiem jak moja dusza — odpowiadam głupio i czekam na efekt.

Bianka się uśmiecha. Wiem że najwyższy czas się żegnać. Przyjechałem ubiegłego wieczora. Prosili, bym przenocował. Później na obiad. Nie sposób siedzieć dłużej. Zresztą wszystko już powiedziane, załatwione. Wygrał Giulio. Bianka z nim nie zerwie dla mnie. Nie może.

— No, a gdyby coś zaszło — mówię — i nie wyszłabyś za mąż.

— Nic nie zajdzie.

— A jednak gdyby — nalegam — czy mogę liczyć że mi dasz znać? Przyjadę z Anglii czy z końca świata.

Ociąga się. Wreszcie powiada:

No więc gdyby, to dam ci znać. ... I pamiętaj coś mi obiecał — dodaje.

Wiem. Mam pójść do spowiedzi. „Chyba na statku" — myślę. Wstaję nie spuszczając z niej wzroku. Jeszcze przez chwilę patrzeć. Oczyma notuję: policzek, szyja, korale. I tak zaraz wszystko się zatrze. Żegnam się. Wchodzą rodzice, siostry. Wszyscy coś równocześnie mówimy. W końcu zbiegam ze schodów. Znajomy stuk bramy. Już.

★

Opowiem od początku.

Miejsce nazywało się Woda Żywa ze Zdroju, a ja byłem w niej oficerem placu.

Woda Żywa i nasz batalion nie mogli dobrać się lepiej. Ich wojna obeszła bokiem, biwaków nie zaznali, a nudzili się już od wieku. My zaś powyżej uszu mieliśmy życia pod namiotami po różnych manowcach. Ach, jak byliśmy sobie radzi!

Więc zaraz wizyty. Więc różne grzeczności: my im, oni nam. Więc zachwyty, że Chopin i że Michał Anioł. Potem oni bal w magistracie, a my bal w kasynie. — Trzeba, panie, pokazać — powiedział major. Więc pięć tysięcy śnieżnych płatków z waty wisi na sznurkach u sufitu. Orkiestrę mamy dobrą, a, że się też chcą popisać — więc tango, z ikrą, od ucha, potem kujawiak (*com'è bello!*), i tango znowu, lecz rwane jeszcze krócej. Miotamy się wytwornie, oni są w siódmym niebie, zbratanie idzie jak z płatka. Potem starszyzna odpływa z tatusiami na wódkę, a na parkiecie tymczasem oczy błyszczą, biusty falują, „prego, signorina" „bravo tenente", „mało"!. Oczywiście sypią się zaproszenia i bywamy. Po paru przyjęciach każdy z nas jest już salonowym wygą i znawcą win, a w lustrach widzi oficera gwardii. Tylko z kadrylem słabo. Ciągle mylimy figury. Raz nawet słyszałem jak kwatermistrz powiedział „k. mać" pod nosem w samym środku wdzięcznych podskoków.

Jestem wszędzie i bawię się jak nigdy w życiu. Ba, nurzam się z głową w tym szaleństwie. A wszystko dzięki Józiowi i bilardowym kulom.

Kiedy wylądowałem przed rokiem we Włoszech, Józio służył już tam dość długo. Zaraz też odwiedził starych kolegów. Chełpił się strasznie: Rosetta, Aida, żyć nie umierać. Żadne bujdy. Zabierze mnie do nich na week-end, to zobaczę. Jedziemy zatem na week-end, ja po włosku ni w ząb, więc pytam Józia jak będzie. — Nic się, żłobie, nie martw — mówi Józio — ja będę gadał za nas obu. — I rzeczywiście. Ja siedzę jak cep, a Józek najczystszą (tak myślałem) włoszczyzną rozprawia, żartuje, a gdy się zwraca do dziewcząt, to się, biedactwa, aż rumienią z wrażenia. Kiedy już sami jesteśmy w gościnnym pokoju wieczorem, zachwycam się:

— Ależ ty, Józek, po włosku!

— Niewąsko co? Aleś nic jeszcze nie słyszał. Gdy jestem z dziewczyną sam, wstępuje coś we mnie i mówię, jakbym się tu urodził. Son contentissimo di averla incontrata — zatokował smakując zgłoski. — Słyszysz, Olesku, jak to dzwoni? Słowa jak bilardowe kule. Prawda?

Józek wpadł w trans i nastąpiło opowiadanie numer dwadzieścia dziewięć. Przepadałem za opowiadaniami Józia, on też, więc, dla wygody, były ponumerowane. Wtedy oczywiście, opowieść o elokwencji i jej skutkach u Włoszek słyszałem po raz pierwszy. Gdy skończył, wiedziałem że będę mówił tak samo. Muszę. Jak on to ładnie powiedział: słowa jak bilardowe kule. Toczone, gładkie, lśniące.

Postanowienie właściwie nie sprawiło mi trudu. Po paru lekcjach z samouczka i paru wizytach w Bari zwroty i całe zdania zaczęły lepić się do mnie same, od razu ulaskawione, od razu moje własne. Gdy przyjechałem do Wody Żywej, mówiłem już płynnie, a Józio lingwista, wydawał mi się kiepskim amatorem.

Pierwszą rzeczą, którą powiedział mi major w związku z moją nową funkcją, było, bym dbał o dobre stosunki z ludnością. Więc jazda! Smaliłem komu popadło trzypiętrowe komplementy, dla większego efektu w trybach skomplikowanie warunkowych. Końcówki, te wszystkie „esse" i „ebbe" padały bez pudła, a tak swobodnie i od niechcenia że po tygodniu z wszystkimi pannami w Wodzie Żywej byłem „na ty" a z burmistrzem prawie. Jedynie Bianka nie dała się oczarować. Wytykała mi każdy najmniejszy błąd, każdy zwrot brzmiący obco. Mało. Musiałem za nią powtarzać różne włoskie łamańce w rodzaju naszego „chrząszcz brzmi w trzcinie". Np.:

Se oggi non è sereno
domani sereno sarà.
se non sarà serano,
si rasserenera

Bianka skanduje, ja patrzę prosto w jej umalowane usta, powtarzam grzecznie, a myślę: „aleś ty czarna!" — bo i oczy jak węgle i cera bez śladu rumieńca, oliwkowa, i granatowe włosy. Mieszkam właśnie u nich. Wcale nie przez nią. Jeśli, to przez kominek i figi. Zaraz po przyjeździe przydzielałem mieszkania oficerom i dom Bianki był jednym z wielu, które musiałem obejrzeć. Lał deszcz tego dnia, byłem mokry i zmęczony. A tu ogień płonie w kominku, cała rodzina zaś siedzi kołem i napycha się figami. „Niech pan siada". Usiadłem i tego samego jeszcze dnia wprowadziłem się do nich.

Właściwie nie wiem, kiedy zakochałem się w Biance. Gdy jednego dnia pokazała mi zdjęcie narzeczonego, nie czułem jeszcze nic. Był porucznikiem spadochroniarzy, siedział w niewoli trzeci rok i wyglądał bardzo bojowo w tych wszystkich swych szelkach i pasach. „Makaroniarz" — pomyślałem niechętnie, ale nic więcej. Więc przyszło to chyba później. Właśnie urządzaliśmy nasz drugi bal i major polecił mi zająć się zaproszeniami. „Niech pan uważa, poruczniku, aby tym razem nie pominąć znów kogoś ważnego". Zapewniłem gorąco że będę uważał i przez resz-

→

WODA ŻYWA

ZASUSZONA GAŁĄZKA MIMOZY w książce. Cóż za cholerny banał! Ale działa. Przymykam oczy, gwiżdżę po cichu „Symphonie" i już jest. Tamto lato. Czuję jego smak, zapach... I oczywiście ten dzień ostatni.

Siedzimy z Bianką w ich salonie. Na dworze upał, w mieszkaniu prawie chłodno. Żeby ciągle nie patrzeć na nią, zadzieram głowę i patrzę w poplamiony zaciekami sufit. Plamy są brudno-żółte, zachodzą jedna na drugą i całe sklepienie wygląda jak mapa jakichś bardzo podłych okolic.

— Okropny ten nasz sufit — mówi Bianka.

— Całkiem jak moja dusza — odpowiadam głupio i czekam na efekt.

Bianka się uśmiecha. Wiem że najwyższy czas się żegnać. Przyjechałem ubiegłego wieczora. Prosili, bym przenocował. Później na obiad. Nie sposób siedzieć dłużej. Zresztą wszystko już powiedziane, załatwione. Wygrał Giulio. Bianka z nim nie zerwie dla mnie. Nie może.

— No, a gdyby coś zaszło — mówię — i nie wyszłabyś za mąż.

— Nic nie zajdzie.

— A jednak gdyby — nalegam — czy mogę liczyć że mi dasz znać? Przyjadę z Anglii czy z końca świata.

Ociąga się. Wreszcie powiada:

No więc gdyby, to dam ci znać. ... I pamiętaj coś mi obiecał — dodaje.

Wiem. Mam pójść do spowiedzi. „Chyba na statku" — myślę. Wstaję nie spuszczając z niej wzroku. Jeszcze przez chwilę patrzeć. Oczyma notuję: policzek, szyja, korale. I tak zaraz wszystko się zatrze. Żegnam się. Wchodzą rodzice, siostry. Wszyscy coś równocześnie mówimy. W końcu zbiegam ze schodów. Znajomy stuk bramy. Już.

★

Opowiem od początku.

Mieścina nazywała się Woda Żywa ze Zdroju, a ja byłem w niej oficerem placu.

Woda Żywa i nasz batalion nie mogli dobrać się lepiej. Ich wojna obeszła bokiem, biwaków nie zaznali, a nudzili się już od wieku. My zaś powyżej uszu mieliśmy życia pod namiotami po różnych manowcach. Ach, jak byliśmy sobie radzi!

Więc zaraz wizyty. Więc różne grzeczności: my im, oni nam. Więc zachwyty, że Chopin i że Michał Anioł. Potem oni bal w magistracie, a my bal w kasynie. — Trzeba, panie, pokazać — powiedział major. Więc pięć tysięcy śnieżnych płatków z waty wisi na sznurkach u sufitu. Orkiestrę mamy dobrą, a, że się też chcą popisać — więc tango, z ikrą, od ucha, potem kujawiak (*com'è bello*!), i tango znowu, lecz rwane jeszcze krócej. Miotamy się wytwornie, oni są w siódmym niebie, zbratanie idzie jak z płatka. Potem starszyzna odpływa z tatusiami na wódkę, a na parkiecie tymczasem oczy błyszczą, biusty falują, „prego, signorina" „bravo tenente", „mało"!. Oczywiście sypią się zaproszenia i bywamy. Po paru przyjęciach każdy z nas jest już salonowym wygą i znawcą win, a w lustrach widzi oficera gwardii. Tylko z kadrylem słabo. Ciągle mylimy figury. Raz nawet słyszałem jak kwatermistrz powiedział „k. mać" pod nosem w samym środku wdzięcznych podskoków.

Jestem wszędzie i bawię się jak nigdy w życiu. Ba, nurzam się z głową w tym szaleństwie. A wszystko dzięki Józiowi i bilardowym kulom.

Kiedy wylądowałem przed rokiem we Włoszech, Józio służył już tam dość długo. Zaraz też odwiedził starych kolegów. Chełpił się strasznie: Rosetta, Aida, żyć nie umierać. Żadne bujdy. Zabierze mnie do nich na week-end, to zobaczę. Jedziemy zatem na week-end, ja po włosku ni w ząb, więc pytam Józia jak będzie.

— Nic się, żłobie, nie martw — mówi Józio — ja będę gadał za nas obu. — I rzeczywiście. Ja siedzę jak cep, a Józek najczystszą (tak myślałem) włoszczyzną rozprawia, żartuje, a gdy się zwraca do dziewcząt, to się, biedactwa, aż rumienią z wrażenia. Kiedy już sami jesteśmy w gościnnym pokoju wieczorem, zachwycam się:

— Ależ ty, Józek, po włosku!

— Niewąsko co? Aleś nic jeszcze nie słyszał. Gdy jestem z dziewczyną sam, wstępuje coś we mnie i mówię, jakbym się tu urodził. Son contentissimo di averla incontrata — zatokował smakując zgłoski. — Słyszysz, Oleśku, jak to dzwoni? Słowa jak bilardowe kule. Prawda?

Józek wpadł w trans i nastąpiło opowiadanie numer dwadzieścia dziewięć. Przepadałem za opowiadaniami Józia, on też, więc, dla wygody, były ponumerowane. Wtedy oczywiście, opowieść o elokwencji i jej skutkach u Włoszek słyszałem po raz pierwszy. Gdy skończył, wiedziałem że będę mówił tak samo. Muszę. Jak on to ładnie powiedział: słowa jak bilardowe kule. Toczone, gładkie, lśniące.

Postanowienie właściwie nie sprawiło mi trudu. Po paru lekcjach z samouczka i paru wizytach w Bari zwroty i całe zdania zaczęły lepić się do mnie same, od razu ułaskawione, od razu moje własne. Gdy przyjechałem do Wody Żywej, mówiłem już płynnie, a Józio lingwista, wydawał mi się kiepskim amatorem.

Pierwszą rzeczą, którą powiedział mi major w związku z moją nową funkcją, było, bym dbał o dobre stosunki z ludnością. Więc jazda! Smaliłem komu popadło trzypiętrowe komplementy, dla większego efektu w trybach skomplikowanie warunkowych. Końcówki, te wszystkie „esse" i „ebbe" padały bez pudła, a tak swobodnie i od niechcenia że po tygodniu z wszystkimi pannami w Wodzie Żywej byłem „na ty" a z burmistrzem prawie. Jedynie Bianka nie dała się oczarować. Wytykała mi każdy najmniejszy błąd, każdy zwrot brzmiący obco. Mało. Musiałem za nią powtarzać różne włoskie łamańce w rodzaju naszego „chrząszcz brzmi w trzcinie". Np.:

Se oggi non è sereno
domani sereno sarà.
se non sarà serano,
si rasserenera

Bianka skanduje, ja patrzę prosto w jej umalowane usta, powtarzam grzecznie, a myślę: „aleś ty czarna!" — bo i oczy jak węgle i cera bez śladu rumieńca, oliwkowa, i granatowe włosy. Mieszkam właśnie u nich. Wcale nie przez nią. Jeśli, to przez kominek i figi. Zaraz po przyjeździe przydzielałem mieszkania oficerom i dom Bianki był jednym z wielu, które musiałem obejrzeć. Lał deszcz tego dnia, byłem mokry i zmęczony. A tu ogień płonie w kominku, cała rodzina zaś siedzi kołem i napycha się figami. „Niech pan siada". Usiadłem i tego samego jeszcze dnia wprowadziłem się do nich.

Właściwie nie wiem, kiedy zakochałem się w Biance. Gdy jednego dnia pokazała mi zdjęcie narzeczonego, nie czułem jeszcze nic. Był porucznikiem spadochroniarzy, siedział w niewoli trzeci rok i wyglądał bardzo bojowo w tych wszystkich swych szelkach i pasach. „Makaroniarz" — pomyślałem niechętnie, ale nic więcej. Więc przyszło to chyba później. Właśnie urządzaliśmy nasz drugi bal i major polecił mi zająć się zaproszeniami. „Niech pan uważa, poruczniku, aby tym razem nie pominąć znów kogoś ważnego". Zapewniłem gorąco że będę uważał i przez resz-

➔

tę tygodnia nie opuszczałem swej kwatery, podczas gdy Bianka wtajemniczała mnie w „who is who" Wody Żywej. Owocem tych zabiegów była straszliwie pokreślona lista, którą otwierał Onorevole Orazio Vanilla, przed pierwszą wojną ambasador w Chile. Kiedym zabierał już spis, Bianka powiedziała nagle:

— A jednak signorę Curullo powinniście zaprosić. — Z galanterią podałem jej pióro. Pochyliła się nad stolikiem gdzie przez dwa dni spotykały się nasze głowy i dłonie i dopisywała: „Vedova Curullo". Nie wiele myśląc, ot, na wariata, pogładziłem ją wtedy po włosach. Ale ręka mi trochę drżała. Podniosła na mnie oczy — niemy znak zapytania.

Tegoż wieczora, u państwa Bondich, było małe przyjęcie. Pani domu przy fortepianie mordowała Chopina, a my byliśmy należycie skupieni. Widziałem jednak, jak nasz oświatowy, podparłszy czoło dłońmi, studiuje łydki swego *vis-à-vis*. Poszukałem oczyma Bianki. Siedział przy niej Janusz i nachylony coś szeptał. Janusz był przystojny i miał Virtuti. Coś jakby mnie ukłuło. Zaraz po brawach podszedłem do nich i już nie odstąpiłem. Nawet gdy Roman, daleko naprzeciw, patrząc mi drwiąco w oczy zaczął poruszać wargami. Wiedziałem że deklamuje:

Z ogrodowej altany
wojewoda zdyszany . . .

ale było mi wszystko jedno.

★

Przyszedł bal. O ósmej wieczór wyszedłem z kasyna, gdzie już strojono instrumenty i wpadłem po coś na kwaterę. Otworzyła mi drzwi gotowa do wyjścia Bianka. Miała czarną suknię do ziemi z wielkim czerwonym kwiatem i stała przede mną, kir i żałoba, zabójcza. Posępny zachwyt zdzielił mnie w ciemię. Idąc do kasyna z powrotem, układałem w gorączce co jej w tańcu powiem. Nie było chwili do stracenia. Susami przebiegłem schody.

— Kostek — mówiłem do szefa orkiestry — dam panu znak za godzinę. „Jalousie", dobrze? I światła może pan ściemni.

Chwila nadeszła. Trzymam Biankę ucichł, przekręciłem kontakt, uchyliłem drzwi, i pewny swego, czekałem. U świętej figurki na ścianie tlił się mały płomyk i rzucał trochę światła. Wreszcie nadeszła. Przeciąłem jej drogę, chwyciłem za ręce. Znów spojrzenie — znak zapytania. Pociągnąłem ją ku sobie. Wtedy schyliła nisko głowę i całkiem na serio, próbowała się wyrwać. „Puść. Mam narzeczonego". Zamajaczyły mi spadochroniarskie szelki i puściłem jej ręce. Uciekła. Wiedziałem że Janusz zrobiłby inaczej i byłem na niego i na siebie wściekły.

Teraz jej unikałem jak ognia. Cały tydzień. Lecz na Trzech Króli coś znowu było w kasynie, więc stoimy naprzeciw siebie badając się wzrokiem i niepewnym uśmiechem.

— Gniewasz się? — pytam.

— Naturalnie. Nawet prosiłam papę, by się poskarżył twemu majorowi.

— Łaski!

— Guai!

A po chwili: — Ale wybaczę ci, jak ze mną zatańczysz tego walca w lewo.

Walca w lewo nie umiem i Bianka o tym wie. Tańczymy więc w prawo, właśnie koło majora, ona zaś marszczy nos i niby chce do Wodza mówić. Okręcam ją co siły i wirując prowadzę w drugi koniec sali. Śmiejemy się na głos, strasznie czegoś weseli, i patrzymy, patrzymy, aż się z tych spojrzeń przędzie pajęczyna. Nagle spoważniała.

— Przyjdź jutro o trzeciej na dach — szepce — przyjdziesz?

Skończył się taniec i już mi ją zabrali. Starszy jakiś jegomość podchodzi i pieje pochwały.

— Panna z doskonałej rodziny...

— Nessuno lo mette in dubbio — ucinam go wpół zdania i odchodzę, bo cały huczę w środku jak rozpędzony młyn. Znów grają. Oparty o ścianę, mrużę oczy, aż mi w nich tylko zostaje igła światła na saksofonie.

— Zamknę cię teraz, szczęsna chwilo, w dłoni — marzę — rozciągnę cię. Trwaj. Wdzięczy się refren bostona, dzwoni szkło. W bufecie padł kawał i wszyscy ryczą. Każda sekunda jest cenna, każdy dźwięk szczerozłoty.

— Czym nie jak Olbromski na balu w Jazie? Szum, szczęście, szum...

★

Więcej. W duchu śmiałem się z nich na głos, jak wczoraj koledzy po dowcipie w bufecie. Bianka za wszelką cenę. Mówiłem jej to i przez dobry kwadrans toczyły się bilardowe kule. Słuchała.

— Naprawdę gotowbyś? — spytała wreszcie z niedowierzaniem.

Rozmowę przerwała nam kompania Janusza. Z ręcznikami pod pachą maszerowali do łaźni kując bruk. Czwórki ginęły w tunelu zaułka tuż pod nami.

— Trzyyyy, cztery... — zapiał nagle Zahajko i wybuchła „Andzia".

W sobotę wieczorem
Pod dobrym humorem
Andzia na mnie zawołała
Chodź pan teraz
Tra-la-la-la

Śpiewali od serca i na całe gardło, więc wydawało się że piosenka rozsadzi uliczkę.

— Dì che cosa cantano? — spytała Bianka, gdy oddalili się trochę.

— Dell'amore — odpowiedziałem bez namysłu.

★

Przez następny miesiąc spędzałem z nią każdą wolną chwilę. Opowiedziałem jej wszystko o sobie. Wszystko. Ona mi chyba też. Rozmowa często schodziła na Gulia i mówiliśmy o nim jak o kimś z filmu czy powieści, o kimś, kto może interesować, nawet być ważnym, ale daleko gdzieś i poza nami.

— Dopókiś się tu nie zjawił — powiedziała mi raz — czułam się jak wojenny okręt, pancernik, nie do zdobycia. (Po włosku brzmi to ładniej: „mi sentivo una corazzata").

Po takich rozmowach me krótkie wizyty na komendzie placu czy w kasynie podobne były do widzeń we śnie. Meldowałam się, rozmawiałem, może nawet pisałem jakieś raporty, lecz działo się to wszystko w innym wymiarze, za mętną szybą, przez którą, śniąc, widzimy jakieś wypadki nie bardzo je rozumiejąc.

Jednego z takich dni, gdzieś pod koniec lutego, wezwał mnie do siebie major. To pamiętam dość dobrze. Chwilę mi się przypatrywał.

— Poruczniku — rzekł wreszcie — wysyłam pana na dwumiesięczny kurs

nych przyjęć. Żadnych balów. Ulice oślepiały blaskiem i były puste. Brydż w kasynie mierził. W wielkim domu jakoś omijali mnie gospodarze i nikt nie prosił na pogawędkę czy filiżankę kawy. Bianki nie widywałem po kilka dni, choć nieraz dochodził mnie jej głos gdzieś z trzeciego pokoju. Więc ciskałem się w czterech ścianach wymyślając sobie od durni. Z czasem Giulio i Bianka na miejsce narzeczeńskich karesów obrali sobie kanapkę naprzeciw moich drzwi. Wychodząc musiałem patrzeć jak odskakują od siebie. Zdławionym, ale strasznie swobodnym głosem mówiłem „Dzień dobry" i nonszalancko przecinałem pokój, który zdawał się nie mieć końca. Do tego „Symphonie". Przebój. „Symphonie" przez radio, „Symphonie" w kasynie, „Symphonie" z każdego otwartego okna. Piosenka zrosła się z moją męką. W końcu zauważyłem że chociaż jej nie cierpię, to jednak ciągle przebieram w głowie, jak jakiś bolesny różaniec, te głupie strofki.

Najgorsze były noce. Godzinami leżałem z otwartymi oczyma i z rękoma pod głową. Snułem dzikie projekty-marzenia, traciłem wątek i odnajdywałem go znowu w maku innych myśli wciskających się z boku. Raz, leżąc tak, usłyszałem szmer. Usiadłem. Nie było wątpliwości. Ktoś bardzo ostrożnie stąpał przez sąsiedni pokój łączący dwa skrzydła domu. Krok od kroku dzieliły długie przerwy, jak gdyby skradająca się osoba co chwila nasłuchiwała. Nie wiem dlaczego, ale miałem zupełną pewność że są to kroki kobiety. Nagle wszystko stało się jasne. Bianka szła do pokoju Giulia. Przez reszte nocy nie zmrużyłem już oka. Gdzieś przed świtem jacyś mężczyźni przeszli pod moim oknem śpiewając łamiącym się głosem canzonę, w której „dolore" i „amore" rymowały się w zawiesistym, łkanym akordzie.

Rano postanowiłem jakoś się ratować. Wszyscy koledzy byli na strzelnicy, więc uwyśliłem że odwiedzę batalionowego lekarza. Poszedłem do niego zaraz po obiedzie. Starszy strzelec podchorąży doktor Lublin miał pokój z osobnym wejściem i właśnie wypełniał raporty zachorowań wenerycznych. Był mi rad.

— Siadaj. Wyobraź sobie, pięciu nowych do batalionu „W". — Nalał dwa kieliszki.

czesane nawet na nies
ku. Bardzo długa m
go jeszcze wyższym
wialiśmy o jego niew
naszym wojsku. Chci
dy wyjedziemy z W

— Nieprędko —
satysfakcją.

Na to on że dopie
normalnego życia. Że
tych, co są jeszcze
Zwłaszcza że nie mo
kraju. Rozwalony w
w narzeczoną, posad
ne ubranie był uos
mowanej egzystencji.
mu. Szlag mnie trafia
rza współczucie. Za
więc cynicznie że wł
się w wojsku bawię.
trochę zrzędła.

— Pewnie już pa
— powiedział wstając
mnie rękę — jutro w

— Koniec tomu d
rzyłem.

★

Ale dni, które prz
cze gorsze niż poby
przynajmniej słyszał
kroki. Teraz była
Bianka zniknęła. Na
godzinami u drzwi
w szmery domu. W
o nią najmłodsze d
nie, Tinę.

— Bianka mieszka
na Estramurale — po
czynka. Przypomniał
nią i że niedawno
stety nie mieszkał ta
zonu i nie było p
wiedzin. Zacząłem
i podchody w zaułka
patrywały się maski
skutku. W dzień żar
jedynym żywym czło
rze był nieruchomy
ce przed *municipio*.
muchy. Wieczorem u
kawy, czarno ubra
gdyby nadeszła, czy
mówić? Mimo tego
pomniałem sobie że
na nieszpory. Co w
tylko zaczynały bić
ku katedrze i kręcił
miennych lwów u w
no. Z desperacji, z
dziłem nadal i cz

działem jednak, jak nasz oświatowy, podparłszy czoło dłońmi, studiuje łydki swego *vis-à-vis*. Poszukałem oczyma Bianki. Siedział przy niej Janusz i nachylony coś szeptał. Janusz był przystojny i miał Virtuti. Coś jakby mnie ukłuło. Zaraz po brawach podszedłem do nich i już nie odstąpiłem. Nawet gdy Roman, daleko naprzeciw, patrząc mi drwiąco w oczy zaczął poruszać wargami. Wiedziałem że deklamuje:

Z ogrodowej altany
wojewoda zdyszany . . .

ale było mi wszystko jedno.

★

Przyszedł bal. O ósmej wieczór wyszedłem z kasyna, gdzie już strojono instrumenty i wpadłem po coś na kwaterę. Otworzyła mi drzwi gotowa do wyjścia Bianka. Miała czarną suknię do ziemi z wielkim czerwonym kwiatem i stała przede mną, kir i smoła, zabójcza. Posępny zachwyt zdzielił mnie w ciemię. Idąc do kasyna z powrotem, układałem w gorączce co jej w tańcu powiem. Nie było chwili do stracenia. Susami przebiegłem schody.

— Kostek — mówiłem do szefa orkiestry — dam panu znak za godzinę. „Jalousie", dobrze? I światła może pan ściemni.

Chwila nadeszła. Trzymam Biankę w ramionach. „Jalousie". Wpierw wybuch skrzypiec niby scena zazdrości, a potem kojące, błogie „a jednak". Akordeon tnie melodię na równiutkie strzępy. Płyniemy. Zbieram się w sobie na wyznanie, na najokrąglejszą bilardową kulę. Ale nie mogę wydobyć słowa. „Mów, głupcze". Znów minuta bez końca. Przez moment czuję na policzku jej włosy, a prawą dłonią, ciągle, jedwab przez jedwab. — Żałuję — jąkam wreszcie (a głos jakby nie mój) — żem nie na miejscu Giulia... Milczenie. A gdym już we wszystko zwątpił, zlękniony uścisk dłoni.

Następne dni widzę z trudnością. Najprzód gdzieś służbowo wyjeżdżałem, a potem były już święta i niekończąca się feta. Od balu mało ze sobą mówimy. Ale tańczymy ciągle. Bianka dostała na gwiazdkę sweter z czerwonej angory i na swym nowym mundurze mam z niego mnóstwo nitek. Oto Sylwester. Ktoś grzmoci w fortepian. Śpiewamy. Oparta o kredens stoi Flora Santarcangelo. Odrzuciła w tył głowę zam-

rowi.

— Łaski!

— Guai!

A po chwili: — Ale wybaczę ci, jak ze mną zatańczysz tego walca w lewo.

Walca w lewo nie umiem i Bianka o tym wie. Tańczymy więc w prawo, właśnie koło majora, ona zaś marszczy nos i niby chce do Wodza mówić. Okręcam ją co siły i wirując prowadzę w drugi koniec sali. Śmiejemy się na głos, strasznie czegoś weseli, i patrzymy, patrzymy, aż się z tych spojrzeń przędzie pajęczyna. Nagle spoważniała.

— Przyjdź jutro o trzeciej na dach — szepce — przyjdziesz?

Skończył się taniec i już mi ją zabrali. Starszy jakiś jegomość podchodzi i pieje pochwały.

— Panna z doskonałej rodziny...

— Nessuno lo mette in dubbio — ucinam go wpół zdania i odchodzę, bo cały huczę w środku jak rozpędzony młyn. Znów grają. Oparty o ścianę, mrużę oczy, aż mi w nich tylko zostaje igła światła na saksofonie. — Zamknę cię teraz, szczęsna chwilo, w dłoni — marzę — rozciągnę cię. Trwaj. Wdzięczy się refren bostona, dzwoni szkło. W bufecie padł kawał i wszyscy ryczą. Każda sekunda jest cenna, każdy dźwięk szczerozłoty. — Czym nie jak Olbromski na balu w Jazie? Szum, szczęście, szum...

★

Woda Żywa była zbitym ciasno labiryntem kościołów i domków. Stojąc na dachu byliśmy niby samotni dwaj podróżnicy na wielkiej wyżynie popielatych murów. Dzień był słoneczny i ciepły. Apulijski.

Bianka pokazała mi dalekie oliwki na wzgórzach.

— To jest nasze pole.

Potem kilka cyprysów.

— A to cmentarz.

— A skąd się wzięły te czarne twarze na zamku? — Wskazałem zamek w środku miasteczka ozdobiony rządem kamiennych, wykrzywionych masek.

— O, to bardzo dawna historia. Woda Żywa była oblężona przez jakieś wojska. Jednej nocy wodzianie wpadli na pomysł aby zawiesić te maski na murach. Gdy przyszło rano, napastnicy ujrzeli nagle straszne twarze, zlękli się i uciekli.

— Ja oblężenia nie przerwę żeby nie wiem co.

Bianka przełknęła ślinę.

więc wydawało się że piosenka rozsadzi uliczkę.

— Di che cosa cantano? — spytała Bianka, gdy oddalili się trochę.

— Dell'amore — odpowiedziałem bez namysłu.

★

Przez następny miesiąc spędzałem z nią każdą wolną chwilę. Opowiedziałem jej wszystko o sobie. Wszystko. Ona mi chyba też. Rozmowa często schodziła na Gulia i mówiliśmy o nim jak o kimś z filmu czy powieści, o kimś, kto może interesować, nawet być ważnym, ale daleko gdzieś i poza nami.

— Dopókiś się tu nie zjawił — powiedziała mi raz — czułam się jak wojenny okręt, pancernik, nie do zdobycia. (Po włosku brzmi to ładniej: „mi sentivo una corazzata").

Po takich rozmowach me krótkie wizyty na komendzie placu czy w kasynie podobne były do widzeń we śnie. Meldowałam się, rozmawiałem, może nawet pisałem jakieś raporty, lecz działo się to wszystko w innym wymiarze, za mętną szybą, przez którą, śniąc, widzimy jakieś wypadki nie bardzo je rozumiejąc.

Jednego z takich dni, gdzieś pod koniec lutego, wezwał mnie do siebie major. To pamiętam dość dobrze. Chwilę mi się przypatrywał.

— Poruczniku — rzekł wreszcie — wysyłam pana na dwumiesięczny kurs pionierów. Będzie pan blisko Neapolu. Sądzę że dobrze to panu zrobi. — Nie powiedział, czy dobrze ma mi zrobić kurs czy Neapol. Chyba myślał o obu. Wyjechałem.

Kurs pionierów — wiadomo. Pontony, niszczenia, brydż. Listy do Bianki co tygodnia. Z początku mi odpisywała, później listy się urwały. Napisał natomiast Romek, któremu powierzyłem pieczę nad mą kwaterą. „Mój Kochany Wojewodo Zdyszany! — pisał — Powrócił z niewoli narzeczony Bianki i w tych dniach zjeżdża do Wody Żywej z wizytą. Jeśliś nic dotąd nie wskórał, to już nie wskórasz. Napisz mi, czy wsadzić im kogoś na kwaterę, jeśli nie chciałbyś tam wracać". Nastąpowały różne nowiny. Neapol rzeczywiście musiał robić mi dobrze, bo wiadomość przyjąłem filozoficznie. Romkowi odpisałem cierpko, aby nie martwił się Bianką i żeby kwaterę zatrzymał dla mnie, bo pokój jest chłodny, a zbliża się lato. Przez reszte kursu nie miałem już żad-

Najgorsze były noce. Godzinami leżałem z otwartymi oczyma i z rękoma pod głową. Snułem dzikie projekty-marzenia, traciłem wątek i odnajdywałem go znowu w maku innych myśli wciskających się z boku. Raz, leżąc tak, usłyszałem szmer. Usiadłem. Nie było wątpliwości. Ktoś bardzo ostrożnie stąpał przez sąsiedni pokój łączący dwa skrzydła domu. Krok od kroku dzieliły długie przerwy, jak gdyby skradająca się osoba co chwila nasłuchiwała. Nie wiem dlaczego, ale miałem zupełną pewność że są to kroki kobiety. Nagle wszystko stało się jasne. Bianka szła do pokoju Giulia. Przez reszte nocy nie zmrużyłem już oka. Gdzieś przed świtem jacyś mężczyźni przeszli pod moim oknem śpiewając łamiącym się głosem canzonę, w której „dolore" i „amore" rymowały się w zawiesistym, łkanym akordzie.

Rano postanowiłem jakoś się ratować. Wszyscy koledzy byli na strzelnicy, więc uniyśliłem że odwiedzę batalionowego lekarza. Poszedłem do niego zaraz po obiedzie. Starszy strzelec podchorąży doktor Lublin miał pokój z osobnym wejściem i właśnie wypełniał raporty zachorowań wenerycznych. Był mi rad.

— Siadaj. Wyobraź sobie, pięciu nowych do batalionu „W". — Nalał dwa kieliszki.

— No to zdrowie pań — zaproponowałem. Ale Lublin myślał już o czymś innym.

— Oleś — mówił — żebyś ty wiedział kto stąd przed chwilą wyszedł!

— Pacjent? — spytałem.

Lublin stał w rozkroku w swych olbrzymich szortach i kiwał głową że nie.

— Więc kto?

Uśmiechał się tajemniczo bardzo z siebie zadowolony i rozkładał ręce.

— Kobieta?

Lublin promieniał.

— Nigdy byś nie zgadł — szepnął wreszcie.

Dopiłem wódki i spróbowałem wyobrazić sobie Lublina w roli amanta. Nie mogłem. „Nie w tych szortach" — myślałem. Poza tym rozmowa nie przynosiła mi ulgi. Pożegnałem go i powlokłem się do świetlicy Akcji Katolickiej na piętrze pałacu z maskami. Jak „Symphonie" tak i maski miały swój udział w mojej niedoli. Dawniej, w zimowe szarugi, mruga-

mnie rękę — jutro wyjeżdżam.

— Koniec tomu drugiego — rzyłem.

★

Ale dni, które przyszły, były cze gorsze niż pobyt Giulia. W przynajmniej słyszałem jej g kroki. Teraz była zupełna pu Bianka zniknęła. Na darmo czyh godzinami u drzwi wsłuchując w szmery domu. W końcu spyt o nią najmłodsze dziecko w nie, Tinę.

— Bianka mieszka teraz u na Estramurale — powiedziała d czynka. Przypomniałem sobie te nią i że niedawno owdowiała. stety nie mieszkał tam nikt z g zonu i nie było pretekstu do wiedzin. Zacząłem więc przesz i podchody w zaułkach, którym patrywały się maski z zamku. skutku. W dzień żar lał się z ni jedynym żywym człowiekiem na rze był nieruchomy starzec na ce przed *municipio*. Łaziły po muchy. Wieczorem uliczki zalega kawy, czarno ubrany tłum. N gdyby nadeszła, czy chciałaby ze mówić? Mimo tego krążyłem. pomniałem sobie że czasem chad na nieszpory. Co wieczór, więc, tylko zaczynały bić dzwony, sze ku katedrze i kręciłem się koło miennych lwów u wejścia. Na no. Z desperacji, z nawyku przy dziłem nadal i czesałem wzro ciżbę. Aż raz nadeszła. Krew mi w skroniach, zachwyt dławił. brze że była z ciotką, bo nie wyk siłbym słowa. Zasalutowałem tylko i czekałem na jakiś znak: b oczu, uśmiech czy mały ruch mi. Nic. Poważna i nieobecna sł ła mi ledwo głową i weszła do cioła. Prawie biegnąc ruszyłem kwaterę, gnany żałobnym hu dzwonów.

Jakoś wkrótce potem zrob rzecz, której do dziś się wsty Gospodarze wyszli gdzieś wszy byłem sam w całym domu. „Z zaskrzypi brama — roilem — i dzie na schody Bianka. Przecież ki musi przyjść". Mijały kwadranse sza. Nagle zastukała kołatka. ciałem co tchu. Ale był to tylk stonosz, który wręczył mi dwie nakowe koperty. Spojrzałem na ad „Signorina, Signorina Bianca Li Nazwiska nadawcy nie było, ale necka pieczątka zdradzała Gi Niosę listy po schodach, a wyob

sobą mówimy. Ale tańczymy ciągle. Bianka dostała na gwiazdkę sweter z czerwonej angory i na swym nowym mundurze mam z niego mnóstwo nitek. Oto Sylwester. Ktoś grzmoci w fortepian. Śpiewamy. Oparta o kredens stoi Flora Santarcangelo. Odrzuciła w tył głowę, zamknęła oczy i drze się:

Giooo-ven-tuuu,
passa e non torna piùuu . . .

— Wulkan, nie dziewczyna — mówi do mnie z uznaniem wuj Bianki. Potakuję skwapliwie i skręcam zdjęty z rękawa kłaczek czerwonej włóczki. „Jutro" — postanawiam.

Nazajutrz kazałem Marcinowi naoliwić drzwi w mym pokoju. Wiedziałem że Bianka chodzi spać ostatnia i że w drodze do swojej sypialni przejść musi przez pokój sąsiadujący z moim. Kiedy cały dom

maski na murach. Gdy przyszło rano, napastnicy ujrzeli nagle straszne twarze, zlękli się i uciekli.

— Ja oblężenia nie przerwę żeby nie wiem co.

Bianka przełknęła ślinę.

— Właśnie dlatego prosiłam, byś przyszedł.

Zamieniłem się w słuch.

— Po pierwsze: dopóki Giulio jest w niewoli, wszystko musi zostać tak jak było. Po drugie, i to ci głównie chciałam powiedzieć — głos jej teraz trząsł się — ja mam gruźlicę... Początki — poprawiła się prędko i odwróciła głowę.

Nowina nie zrobiła na mnie wrażenia. Nie mogła. Bianka stała tuż, dorodna i pyszna, a ja czułem taką w ramionach i piersiach siłę że jeszcze niewiele, a prysłyby guziki mej obcisłej bluzy. Nie chciałem nic wiedzieć ani o Giuliu, ani o chorobie.

wiadomość przyjąłem filozoficznie. Romkowi odpisałem cierpko, aby nie martwił się Bianką i żeby kwaterę zatrzymał dla mnie, bo pokój jest chłodny, a zbliża się lato. Przez resztę kursu nie miałem już żadnych wiadomości i czasem nawet wątpiłem, czy Woda Żywa istnieje naprawdę. W takich chwilach wkładałem rękę do kieszeni i dotykałem klucza od jej domu.

Późnym wieczorem jednej soboty w maju otworzyłem nim bramę i wszedłem cicho do swego pokoju. Wszyscy już spali. Na drugi dzień od wczesnego ranka nasłuchiwałem głosów za drzwiami, ale poza krzykami dzieci nic nie można było rozeznać. Wymknąłem się więc do kasyna na śniadanie i przesiedziałem dwie godziny nad kawą z jakąś starą gazetą. W końcu zdecydowałem się wrócić. Gdy otworzyłem drzwi domu, Bianka, jej ojciec i Giulio wychodzili właśnie do kościoła. Spotkaliśmy się w połowie schodów. Giulio był bardzo wysoki i stał o dwa stopnie wyżej. Gdy mi go ojciec przedstawiał, musiałem po prostu zadrzeć głowę do góry. „Piacere" — powiedzieliśmy równocześnie. Patrzył na mnie jak spadochroniarz na tyłowego oficera, a może też jak oficjalny narzeczony na „absztyfikanta" (czy wiedział?). Z miejsca poczułem że go nie znoszę. Całe szczęście że ojciec gadał bez przerwy, bo żadne z nas młodych nie powiedziało ni słowa.

Zaczęły się dni udręki w Wodzie Żywej jakich jeszcze nie znałem. Żadnych wieczorów, bo Bianka nie wychodziła z domu. Ja też nie. Siedziałem w pokoju i czytałem. Przyniosła mi książki i powłokłem się do świetlicy. Akcji Katolickiej na piętrze pałacu z maskami. Jak „Symphonie" tak i maski miały swój udział w mojej niedoli. Dawniej, w zimowe szarugi, mrugałem nieraz do nich porozumiewawczo:

— Możecie się krzywić dowoli, zacne maszkary. Dobrze mi z wami tak czy owak.

Teraz maski mówiły do mnie:

— Czego tu szukasz, przybłędo? Z innej jesteś gliny i jakże mało rozumiesz. Co wiesz o wiekach upałów i nudy, przez które dojrzewał jej wdzięk i ogień? O zabiegach pokoleń koło oliwy i koło wina? O nieszporach, procesjach, pogrzebach? Tu, na tym placyku, wystawał jej dziadek w kusej pelerynce, jak jego ojciec przed nim i ojciec ojca. O czym mówili w dialekcie z którego nie rozumiesz ni słowa? Pomyśl o ciemnych zakamarkach dialektu, o starych wyrazach, których początku nikt nie zna.

Kładłem więc rękę na mur pod maskami i szukałem ukrytego w kamieniu tętna jej krwi.

Wkrótce po wizycie u Lublina przyłapałem ją w przejściowym pokoju. Samą.

— Mam coś dla ciebie z Neapolu — powiedziałem.

Była spłoszona. Odwinąłem z bibułki złoty wisiorek i położyłem jej na dłoni. Była to „fortuna bendata" główka z przewiązanymi oczyma. Wymamrotała jakieś podziękowanie, ale nie mogła odejść bo trzymałem koniec łańcuszka w palcach. Wtedy za drzwiami usłyszeliśmy kroki Giulia. Dziewczyna stała jak na węglach. „Masz za moją mękę" — krzyczałem oczyma i ciągle trzymałem łańcuszek. „Niech wejdzie. Niech się domyśli". Ale kroki się oddaliły. Plotąc jakieć głupstwa *á propos* zawiązanych oczu, wypuściłem prezent z ręki. Odeszła.

Czułem teraz powiew nadziei. Czyż nie była niepewna, zmieszana? Wiadomo co to znaczy. Ty tylko wyjedź, wenecki cudaku, a będę ją znowu miał dla siebie. Rzucę do szturmu bilardowe kule. Nie oprze się. Zresztą po prostu się oświadczę. A kroki w nocy? Licho wie co to było. Może mysz. Jakże wszystko było teraz proste. Nawet zapragnąłem go zobaczyć. Czekałem więc, aż w końcu wszedł. Pierwszy raz przyglądnąłem się mu dokładnie. Miał twarz fauna i kręcone ciemne włosy, starannie za-

nakowe koperty. Spojrzałem na adre
„Signorina, Signorina Bianca Lissi
Nazwiska nadawcy nie było, ale w
necka pieczątka zdradzała Giuli
Niosę listy po schodach, a wyobra
nia podsuwa od razu te swoje obra
ki: jakaś sypialnia na Estramura
Oparta o poduszki Bianka czyta li
Lampa rzuca światło na twarz, wł
sy na pościeli, reszta pokoju w c
niu. Cóż tam takiego napisał że
uśmiecha do siebie? Scena nabie
wyrazu, koloru. Biała pościel, cza
ne włosy, pastele twarzy. Degas. Ma
nawet tytuł: „Madonna Innamorata
Ale to brzmi renesansowo. Więc w
riant drugi: Bianka uczesana gład
w półprofilu. Głowa pochylona. F
faelowski śmiały dekolt w kwad
i uśmiech-nie-uśmiech na warga
Goły, tłusty amorek podaje jej
W głębi jakieś dalekie wieże, pi
i niebo modro-seledynowe jak sa
szczęśliwość. Ważę listy w dłon
myślę że jeszcze tegoż wieczora
będzie je trzymać w swych ręka
Po chwili, podważając ostrożnie
łówkiem sklejenie otwieram je sa
zaczynam łapczywie czytać. Cze
tam nie było! Parę bitych stron
łosnych zaklęć. I całe to ich włos
aktorstwo. A ja myślałem że um
toczyć bilardowe kule. „Chciałb
złożyć głowę w twych dłoniach i
kać". I jeszcze: „klęczeć przed to
modlić się do ciebie". Dalej nie
głem. Patrzyłem bezradnie w twa
listowy papier i myślałem że jes
jak sztubak, co zapłacił fortun
krótką, marną przyjemność. W
datku coś mi się przypomniało. P
wieloma laty wyjeżdżałem na
ta i ojciec dawał mi do kogoś
— Zauważ — mówił — jest ni
klejony. [illegible]

Więcej. W duchu śmiałem się z nich na głos, jak wczoraj koledzy po dowcipie w bufecie. Bianka za wszelką cenę. Mówiłem jej to i przez dobry kwadrans toczyły się bilardowe kule. Słuchała.

— Naprawdę gotowbyś? — spytała wreszcie z niedowierzaniem.

Rozmowę przerwała nam kompania Janusza. Z ręcznikami pod pachą maszerowali do łaźni kując bruk. Czwórki ginęły w tunelu zaułka tuż pod nami.

— Trzyyyy, cztery... — zapiał nagle Zahajko i wybuchła „Andzia".

W sobotę wieczorem
Pod dobrym humorem
Andzia na mnie zawołała
Chodź pan teraz
Tra-la-la-la

Śpiewali od serca i na całe gardło, więc wydawało się że piosenka rozsadzi uliczkę.

— Di che cosa cantano? — spytała Bianka, gdy oddalili się trochę.

— Dell'amore — odpowiedziałem bez namysłu.

★

Przez następny miesiąc spędzałem z nią każdą wolną chwilę. Opowiedziałem jej wszystko o sobie. Wszystko. Ona mi chyba też. Rozmowa często schodziła na Gulia i mówiliśmy o nim jak o kimś z filmu czy powieści, o kimś, kto może interesować, nawet być ważnym, ale daleko gdzieś i poza nami.

— Dopókiś się tu nie zjawił — powiedziała mi raz — czułam się jak wojenny okręt, pancernik, nie do zdobycia. (Po włosku brzmi to ładniej: „mi sentivo una corazzata").

Po takich rozmowach me krótkie wizyty na komendzie placu czy w kasynie podobne były do widzeń we śnie. Meldowałam się, rozmawiałem, może nawet pisałem jakieś raporty, lecz działo się to wszystko w innym wymiarze, za mętną szybą, przez którą, śniąc, widzimy jakieś wypadki nie bardzo je rozumiejąc.

Jednego z takich dni, gdzieś pod koniec lutego, wezwał mnie do siebie major. To pamiętam dość dobrze. Chwilę mi się przypatrywał.

— Poruczniku — rzekł wreszcie — nych przyjęć. Żadnych balów. Ulice oślepiały blaskiem i były puste. Brydż w kasynie mierził. W wielkim domu jakoś omijali mnie gospodarze i nikt nie prosił na pogawędkę czy filiżankę kawy. Bianki nie widywałem po kilka dni, choć nieraz dochodził mnie jej głos gdzieś z trzeciego pokoju. Więc ciskałem się w czterech ścianach wymyślając sobie od durni. Z czasem Giulio i Bianka na miejsce narzeczeńskich karesów obrali sobie kanapkę naprzeciw moich drzwi. Wychodząc musiałem patrzeć jak odskakują od siebie. Zdławionym, ale strasznie swobodnym głosem mówiłem „Dzień dobry" i nonszalancko przecinałem pokój, który zdawał się nie mieć końca. Do tego „Symphonie". Przebój. „Symphonie" przez radio, „Symphonie" w kasynie, „Symphonie" z każdego otwartego okna. Piosenka zrosła się z moją męką. W końcu zauważyłem że chociaż jej nie cierpię, to jednak ciągle przebieram w głowie, jak jakiś bolesny różaniec, te głupie strofki.

Najgorsze były noce. Godzinami leżałem z otwartymi oczyma i z rękoma pod głową. Snułem dzikie projekty-marzenia, traciłem wątek i odnajdywałem go znowu w maku innych myśli wciskających się z boku. Raz, leżąc tak, usłyszałem szmer. Usiadłem. Nie było wątpliwości. Ktoś bardzo ostrożnie stąpał przez sąsiedni pokój łączący dwa skrzydła domu. Krok od kroku dzieliły długie przerwy, jak gdyby skradająca się osoba co chwila nasłuchiwała. Nie wiem dlaczego, ale miałem zupełną pewność że są to kroki kobiety. Nagle wszystko stało się jasne. Bianka szła do pokoju Giulia. Przez reszte nocy nie zmrużyłem już oka. Gdzieś przed świtem jacyś mężczyźni przeszli pod moim oknem śpiewając łamiącym się głosem canzonę, w której „dolore" i „amore" rymowały się w zawiesistym, łkanym akordzie.

Rano postanowiłem jakoś się ratować. Wszyscy koledzy byli na strzelnicy, więc umyśliłem że odwiedzę batalionowego lekarza. Poszedłem do niego zaraz po obiedzie. Starszy strzelec podchorąży doktor Lublin miał pokój z osobnym wejściem i właśnie wypełniał raporty zachorowań wenerycznych. Był mi rad.

— Siadaj. Wyobraź sobie, pięciu nowych do batalionu „W". — Nalał czesane nawet na niestrzyżonym karku. Bardzo długa marynarka robiła go jeszcze wyższym niż był. Rozmawialiśmy o jego niewoli, a potem o naszym wojsku. Chciał wiedzieć, kiedy wyjedziemy z Włoch.

— Nieprędko — powiedziałem z satysfakcją.

Na to on że dopiero co wrócił do normalnego życia. Że zatem rozumie tych, co są jeszcze w mundurze. Zwłaszcza że nie możemy wrócić do kraju. Rozwalony w fotelu, zbrojny w narzeczoną, posadę i nowe cywilne ubranie był uosobieniem unormowanej egzystencji. Zazdrościłem mu. Szlag mnie trafiał że mi wymierza współczucie. Zawiadomiłem go więc cynicznie że właściwie świetnie się w wojsku bawię. Giuliowi mina trochę zrzedła.

— Pewnie już pana nie zobaczę — powiedział wstając i wyciągnął do mnie rękę — jutro wyjeżdżam.

— Koniec tomu drugiego — marzyłem.

★

Ale dni, które przyszły, były jeszcze gorsze niż pobyt Giulia. Wtedy przynajmniej słyszałem jej głos i kroki. Teraz była zupełna pustka. Bianka zniknęła. Na darmo czyhałem godzinami u drzwi wsłuchując się w szmery domu. W końcu spytałem o nią najmłodsze dziecko w rodzinie, Tinę.

— Bianka mieszka teraz u cioci, na Estramurale — powiedziała dziewczynka. Przypomniałem sobie tę panią i że niedawno owdowiała. Niestety nie mieszkał tam nikt z garnizonu i nie było pretekstu do odwiedzin. Zacząłem więc przeszpiegi i podchody w zaułkach, którym przypatrywały się maski z zamku. Bez skutku. W dzień żar lał się z nieba i jedynym żywym człowiekiem na dworze był nieruchomy starzec na ławce przed *municipio*. Łaziły po nim muchy. Wieczorem uliczki zalegał ciekawy, czarno ubrany tłum. Nawet gdyby nadeszła, czy chciałaby ze mną mówić? Mimo tego krążyłem. Przypomniałem sobie że czasem chadzała na nieszpory. Co wieczór, więc, gdy tylko zaczynały bić dzwony, szedłem ku katedrze i kręciłem się koło kamiennych lwów u wejścia. Na próżno. Z desperacji, z nawyku przychodziłem nadal i czesałem wzrokiem przy mnie na znak że nie będziesz czytał. — O gdyby mnie teraz widział! Skleiłem starannie obie koperty i położyłem w salonie. Za chwilę nie było mnie w mieście.

Zawiozłem swe bóle Józiowi, którego oddział stał w San Basilio Malinconico. Chodzimy po dębowym lesie, Józek mnie słucha uważnie, czasem staje i strzela z wiatrówki do zielonych jaszczurek na głazach. Opowiadam wszystko opuszczając jedynie grzdlicę i te otwarte listy.

— Cóż ja ci powiem, Oleśku — mówi wreszcie Józek — na to jest tylko jedno lekarstwo. Widzisz — ciągnął po chwili — ja jestem rzeźnik. — Nowa jaszczurka spadła z kamienia wijąc się w agonii, a Józek spojrzał na mnie spod oka by się upewnić że efekt nie uszedł mej uwagi.

— Rzeźnik — powtórzył dla pewności — a ty czekasz aby dziewczynka podała ci się na tacy.

Myślałem, czy mu powiedzieć że do Bianki po prostu nie umiem wyciągnąć ręki. Że coś ją wiąże i trzyma. Ale dałem spokój.

★

Właściwie niewiele już pozostało do opowiedzenia. Czytam com napisał i widzę jak sprawa dojrzewa do jakiegoś wielkiego przełomu. Może w powieści tak by było. Ale naprawdę nie stało się nic. Anim jej nie zdobył, anim się nie zastrzelił. Nawet nie oświadczyłem się porządnie. A cierpienia młodego Werthera wzięły zupełnie nowy obrót. Jednego dnia, gdym już od dawna był pewny że nie zobaczę jej już nigdy, zapukała do moich drzwi Tina i oznajmiła że Bianka jest w salonie i chce się ze mną zobaczyć.

— Jak się masz, Panalessandro? — (w chwilach dobrego humoru nazywała mnie z polska po włosku „Pan Alessandro") — chodź, usiądziemy. Zaczerpnąłem oddechu raz i drugi jak człowiek, któremu zdjęto z piersi ciężki kamień.

— Co za wiatr — zakpiła. Potem podała mi filiżankę czarnej kawy. Zauważyłem że nosi mój wisiorek.

— Teraz proszę opowiedzieć mi ładnie o Neapolu. Zobaczyć i umrzeć. Czy tak?

— Właśnie umieram. I to codziennie.

— A w nocy wtedy, to kto szedł tędy? — pytam.

— Nie rozumiem.

No to ja kawę na ławę. Że nie spałem i żem słyszał, jak szła do niego. Chwilę patrzyła na mnie w zdumieniu.

— Giulio spał na Estramurale, u cioci. Przychodził dopiero rano. — Powiedziała to bardzo spokojnie, bez oburzenia czy kpiny i jakoś smutno. A ja czułem się jak gdybym znowu otworzył cudzy list.

Więc kiedy na drugi, akurat, dzień powiedział mi major że wyjeżdżamy do Anglii, byłem nawet trochę zadowolony.

— Pan pojedzie w pierwszym rzucie. Proszę zaraz jutro zameldować się w dywizji. — I znowu: że mi dobrze to zrobi.

★

Marcin pakuje walizki. W pokoju z zaciekami Bianka i ja. Rozmowa się nie klei. Wreszcie ona pyta:

— Jesteś katolikiem, tak?

— Jestem.

— Każdej niedzieli leżysz w łóżku do południa i czytasz. Przez cały pobyt u nas nie byłeś ani razu w kościele.

Chciałem powiedzieć że byłem na Pasterce, alem mruknął coś potwierdzająco.

— Obiecaj mi że pójdziesz do spowiedzi.

— Jeśli sobie życzysz.

— Ieszcze jedno. — Wyjęła z flakonu gałązkę mimozy i podała mi mokrą. — Włóż to do jakiejś książki.

Włożyłem kwiat w „Popioły".

★

Statek odpływał z Neapolu dopiero za parę dni, przyjechałem więc jeszcze raz do Wody Żywej z dywizji, aby się pożegnać. Opisałem to na początku. Dzień później, wyładowany wojskiem pociąg ruszał ze stacji w Bari. Wychylony, widziałem jak patrzy na nas kilku kolejarzy z peronu.

— Via, e non tornate più, porca... — syknął najbliższy tuż pod oknem. Czułem nagle ogromne znużenie. I ulgę. „Przecież ja byłem chory" — pomyślałem sobie. Podszedłem do lustra na korytarzu i zrobiłem parę min: gorzką, zamyśloną, cyniczną. Zawiadamiałem swe odbicie że Pan

tała Bianka, gdy oddalili się trochę.

— Dell'amore — odpowiedziałem bez namysłu.

★

Przez następny miesiąc spędzałem z nią każdą wolną chwilę. Opowiedziałem jej wszystko o sobie. Wszystko. Ona mi chyba też. Rozmowa często schodziła na Gulia i mówiliśmy o nim jak o kimś z filmu czy powieści, o kimś, kto może interesować, nawet być ważnym, ale daleko gdzieś i poza nami.

— Dopókiś się tu nie zjawił — powiedziała mi raz — czułam się jak wojenny okręt, pancernik, nie do zdobycia. (Po włosku brzmi to ładniej: „mi sentivo una corazzata").

Po takich rozmowach me krótkie wizyty na komendzie placu czy w kasynie podobne były do widzeń we śnie. Meldowałam się, rozmawiałem, może nawet pisałem jakieś raporty, lecz działo się to wszystko w innym wymiarze, za mętną szybą, przez którą, śniąc, widzimy jakieś wypadki nie bardzo je rozumiejąc.

Jednego z takich dni, gdzieś pod koniec lutego, wezwał mnie do siebie major. To pamiętam dość dobrze. Chwilę mi się przypatrywał.

— Poruczniku — rzekł wreszcie — wysyłam pana na dwumiesięczny kurs pionierów. Będzie pan blisko Neapolu. Sądzę że dobrze to panu zrobi. — Nie powiedział, czy dobrze ma mi zrobić kurs czy Neapol. Chyba myślał o obu. Wyjechałem.

Kurs pionierów — wiadomo. Pontony, niszczenia, brydż. Listy do Bianki co tygodnia. Z początku mi odpisywała, później listy się urwały. Napisał natomiast Romek, któremu powierzyłem pieczę nad mą kwaterą. „Mój Kochany Wojewodo Zdyszany! — pisał — Powrócił z niewoli narzeczony Bianki i w tych dniach zjeżdża do Wody Żywej z wizytą. Jeśliś nic dotąd nie wskórał, to już nie wskórasz. Napisz mi, czy wsadzić im kogoś na kwaterę, jeśli nie chciałbyś tam wracać". Następowały różne nowiny. Neapol rzeczywiście musiał robić mi dobrze, bo wiadomość przyjąłem filozoficznie. Romkowi odpisałem cierpko, aby nie martwił się Bianką i żeby kwaterę zatrzymał dla mnie, bo pokój jest chłodny, a zbliża się lato. Przez resztę kursu nie miałem już żadnych wiadomości i czasem nawet wątpiłem, czy Woda Żywa istnieje naprawdę. W takich chwilach wkładałem, te głupie strofki.

Najgorsze były noce. Godzinami leżałem z otwartymi oczyma i z rękoma pod głową. Snułem dzikie projekty-marzenia, traciłem wątek i odnajdywałem go znowu w maku innych myśli wciskających się z boku. Raz, leżąc tak, usłyszałem szmer. Usiadłem. Nie było wątpliwości. Ktoś bardzo ostrożnie stąpał przez sąsiedni pokój łączący dwa skrzydła domu. Krok od kroku dzieliły długie przerwy, jak gdyby skradająca się osoba co chwila nasłuchiwała. Nie wiem dlaczego, ale miałem zupełną pewność że są to kroki kobiety. Nagle wszystko stało się jasne. Bianka szła do pokoju Giulia. Przez reszte nocy nie zmrużyłem już oka. Gdzieś przed świtem jacyś mężczyźni przeszli pod moim oknem śpiewając łamiącym się głosem canzonę, w której „dolore" i „amore" rymowały się w zawiesistym, łkanym akordzie.

Rano postanowiłem jakoś się ratować. Wszyscy koledzy byli na strzelnicy, więc umyśliłem że odwiedzę batalionowego lekarza. Poszedłem do niego zaraz po obiedzie. Starszy strzelec podchorąży doktor Lublin miał pokój z osobnym wejściem i właśnie wypełniał raporty zachorowań wenerycznych. Był mi rad.

— Siadaj. Wyobraź sobie, pięciu nowych do batalionu „W". — Nalał dwa kieliszki.

— No to zdrowie pań — zaproponowałem. Ale Lublin myślał już o czymś innym.

— Oleś — mówił — żebyś ty wiedział kto stąd przed chwilą wyszedł!

— Pacjent? — spytałem.

Lublin stał w rozkroku w swych olbrzymich szortach i kiwał głową że nie.

— Więc kto?

Uśmiechał się tajemniczo bardzo z siebie zadowolony i rozkładał ręce.

— Kobieta?

Lublin promieniał.

— Nigdy byś nie zgadł — szepnął wreszcie.

Dopiłem wódki i spróbowałem wyobrazić sobie Lublina w roli amanta. Nie mogłem. „Nie w tych szortach" — myślałem. Poza tym rozmowa nie przynosiła mi ulgi. Pożegnałem go i powlokłem się do świetlicy Akcji Katolickiej na piętrze pałacu z maskami. Jak „Symphonie" tak i maski miały swój udział w mojej niedoli. Dawniej, w zimowe szarugi, mrugałem nieraz do nich porozumiewawczo:

— Możecie się krzywić dowoli, zacne maszkary. Dobrze mi z wami

★

Ale dni, które przyszły, były jeszcze gorsze niż pobyt Giulia. Wtedy przynajmniej słyszałem jej g'os i kroki. Teraz była zupełna pustka. Bianka zniknęła. Na darmo czyhałem godzinami u drzwi wsłuchując się w szmery domu. W końcu spytałem o nią najmłodsze dziecko w rodzinie, Tinę.

— Bianka mieszka teraz u cioci, na Estramurale — powiedziała dziewczynka. Przypomniałem sobie tę panią i że niedawno owdowiała. Niestety nie mieszkał tam nikt z garnizonu i nie było pretekstu do odwiedzin. Zacząłem więc przeszpiegi i podchody w zaułkach, którym przypatrywały się maski z zamku. Bez skutku. W dzień żar lał się z nieba i jedynym żywym człowiekiem na dworze był nieruchomy starzec na ławce przed *municipio*. Łaziły po nim muchy. Wieczorem uliczki zalegał ciekawy, czarno ubrany tłum. Nawet gdyby nadeszła, czy chciałaby ze mną mówić? Mimo tego krążyłem. Przypomniałem sobie że czasem chadzała na nieszpory. Co wieczór, więc, gdy tylko zaczynały bić dzwony, szedłem ku katedrze i kręciłem się koło kamiennych lwów u wejścia. Na próżno. Z desperacji, z nawyku przychodziłem nadal i czesałem wzrokiem ciżbę. Aż raz nadeszła. Krew kuła mi w skroniach, zachwyt dławił. Dobrze że była z ciotką, bo nie wykrztusiłbym słowa. Zasalutowałem więc tylko i czekałem na jakiś znak: błysk oczu, uśmiech czy mały ruch ustami. Nic. Poważna i nieobecna skinęła mi ledwo głową i weszła do kościoła. Prawie biegnąc ruszyłem na kwaterę, gnany żałobnym hukiem dzwonów.

Jakoś wkrótce potem zrobiłem rzecz, której do dziś się wstydzę. Gospodarze wyszli gdzieś wszyscy i byłem sam w całym domu. „Zaraz zaskrzypi brama — rzekłem — i wejdzie na schody Bianka. Przecież kiedyś musi przyjść". Mijały kwadranse. Cisza. Nagle zastukała kołatka. Poleciałem co tchu. Ale był to tylko listonosz, który wręczył mi dwie jednakowe koperty. Spojrzałem na adres. „Signorina, Signorina Bianca Lissi". Nazwiska nadawcy nie było, ale wenecka pieczątka zdradzała Giulia. Niosę listy po schodach, a wyobraźnia podsuwa od razu te swoje obrazki: jakaś sypialnia na Estramurale. Oparta o poduszki Bianka czyta list.

do Bianki po prostu nie umiem wyciągnąć ręki. Że coś ją wiąże i trzyma. Ale dałem spokój.

★

Właściwie niewiele już pozostało do opowiedzenia. Czytam com napisał i widzę jak sprawa dojrzewa do jakiegoś wielkiego przełomu. Może w powieści tak by było. Ale naprawdę nie stało się nic. Anim jej nie zdobył, anim się nie zastrzelił. Nawet nie oświadczyłem się porządnie. A cierpienia młodego Werthera wzięły zupełnie nowy obrót. Jednego dnia, gdym już od dawna był pewny że nie zobaczę jej już nigdy, zapukała do moich drzwi Tina i oznajmiła że Bianka jest w salonie i chce się ze mną zobaczyć.

— Jak się masz, Panalessandro? — (w chwilach dobrego humoru nazywała mnie z polska po włosku „Pan Alessandro") — chodź, usiądziemy. Zaczerpnąłem oddechu raz i drugi jak człowiek, któremu zdjęto z piersi ciężki kamień.

— Co za wiatr — zakpiła. Potem podała mi filiżankę czarnej kawy. Zauważyłem że nosi mój wisiorek.

— Teraz proszę opowiedzieć mi ładnie o Neapolu. Zobaczyć i umrzeć. Czy tak?

— Właśnie umieram. I to codziennie.

— Jak nie przestaniesz, to sobie pójdę.

Nastraszyłem sie że to zrobi i zacząłem mówić o Neapolu i Sorrento, a kiedy temat się wyczerpał, o pogodzie: upałach, spalonej trawie.

— Nie spotkałem tu jeszcze ani jednego motyla — zauważyłem — żebyś widziała łąki u nas w czerwcu!

Nazajutrz wszedłszy do swego pokoju z obiadu zastałem rój motyli. Siedziały na lampie i na oknie. Jeden podlatywał na wprost mego nosa. Wyobraziłem sobie Biankę biegającą o świcie między oliwkami z siatką na motyle. I przyszło mi na myśl że można by zaproponować jakąś wycieczkę, jakiś spacer w okolicy. Muszą mieć jakieś ruiny, jakąś górkę, gdzie się chodzi. Widziałem już, jak przejażdżimy razem wiejskie murki i resztę według wskazań Józia. Lecz okazało się że żadnej górki nie ma i widywaliśmy się nadal w salonie. Znów dzień po dniu bilardowe kule. Słuchała chętnie. Raz, kiedy ojciec jej z matką byli w sąsiednim pokoju, stanąłem uroczyście wyprostowany i spytałem, czy mi

Kobieta? Lublin promieniał. — Nigdy byś nie zgadł — szepnął wreszcie. Dopiłem wódki i spróbowałem wyobrazić sobie Lublina w roli amanta. Nie mogłem. „Nie w tych szortach" — myślałem. Poza tym rozmowa nie przynosiła mi ulgi. Pożegnałem go i powlokłem się do świetlicy Akcji Katolickiej na piętrze pałacu z maskami. Jak „Symphonie" tak i maski miały swój udział w mojej niedoli. Dawniej, w zimowe szarugi, mrugałem nieraz do nich porozumiewawczo: — Możecie się krzywić dowoli, zacne maszkary. Dobrze mi z wami

się nie klei. Wreszcie ona pyta:

— Jesteś katolikiem, tak?

— Jestem.

— Każdej niedzieli leżysz w łóżku do południa i czytasz. Przez cały pobyt u nas nie byłeś ani razu w kościele.

Chciałem powiedzieć że byłem na Pasterce, alem mruknął coś potwierdzająco.

— Obiecaj mi że pójdziesz do spowiedzi.

— Jeśli sobie życzysz.

— Jeszcze jedno. — Wyjęła z flakonu gałązkę mimozy i podała mi mokrą. — Włóż to do jakiejś książki.

Włożyłem kwiat w „Popioły".

★

Statek odpływał z Neapolu dopiero za parę dni, przyjechałem więc jeszcze raz do Wody Żywej z dywizji, aby się pożegnać. Opisałem to na początku. Dzień później, wyładowany wojskiem pociąg ruszał ze stacji w Bari. Wychylony, widziałem jak patrzy na nas kilku kolejarzy z peronu.

— Via, e non tornate più, porca... syknął najbliższy tuż pod oknem. Czułem nagle ogromne znużenie. I ulgę. „Przecież ja byłem chory" — pomyślałem sobie. Podszedłem do lustra na korytarzu i zrobiłem parę min: gorzką, zamyśloną, cyniczną. — Zawiadamiałem swe odbicie że Panalessandro przepadł. Skończył się. Nie wróci i nie napisze. A jeśli kiedyś zatęsknisz, Bianko, to zanuć sobie tego kujawiaka, co ci się tak podobał. — Koła rąbały na szynach swój zdyszany werbel i pierwszy raz od wielu miesięcy było mi naprawdę dobrze.

★

Po roku przyszedł list do Londynu. Pisał starszy brat Bianki, o którym jakoś dotąd nie wspomniałem. Pytał, czemu się nie odzywam, a przy końcu, między różnymi wiadomościami, wspomniał że Bianka i Giulio zerwali. Nie odpisałem. Minął znów rok i przyszedł list drugi. Tym razem od niej. O tym i owym. I że tak marnie skończyła się „nasza wielka przyjaźń". I jeszcze, że jest już całkiem zdrowa. List kończy się wiadomością że w salonie nie ma już zaciekaw. „C'è invece una bella volta blanca". Piękne, białe sklepienie.

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, skąd wzięło się imię Bianka. Ale i na ten list nie odpowiedziałem.

rymiarze, za mętną szybą, przez którą, mimo, widzimy jakieś wypad- nie bardzo je rozumiejąc.

Jednego z takich dni, gdzieś pod koniec lutego, wezwał mnie do siebie major. To pamiętam dość dobrze. Chwilę mi się przypatrywał.

— Porucznik — rzekł wreszcie — wysyłam pana na dwumiesięczny kurs pionierów. Będzie pan blisko Neapolu. Sądzę że dobrze to panu zrobi. — Nie powiedział, czy dobrze ma mi zrobić kurs czy Neapol. Chyba myślał o obu. Wyjechałem.

Kurs pionierów — wiadomo. Pontony, niszczenia, brydż. Listy do Bianki co tygodnia. Z początku mi odpisywała, później listy się urwały. Napisał natomiast Romek, któremu powierzyłem pieczę nad mą kwaterą. „Mój Kochany Wojewodo Zdyszany! — pisał — Powrócił z niewoli narzeczony Bianki i w tych dniach zjeżdża do Wody Żywej z wizytą. Jeśli nie dotąd nie wskórał, to już nie wskórasz. Napisz mi, czy wsadzić im kogoś na kwaterę, jeśli nie chciałbyś tam wracać". Następowały różne nowiny. Neapol rzeczywiście musiał robić mi dobrze, bo wiadomość przyjąłem filozoficznie. Romkowi odpisałem cierpko, aby nie martwił się Bianką i żeby kwaterę zatrzymał dla mnie, bo pokój jest chłodny, a zbliża się lato. Przez resztę kursu nie miałem już żadnych wiadomości i czasem nawet wątpiłem, czy Woda Żywa istnieje naprawdę. W takich chwilach wkładałem rękę do kieszeni i dotykałem klucza od jej domu.

Późnym wieczorem jednej soboty w maju otworzyłem nim bramę i wszedłem cicho do swego pokoju. Wszyscy już spali. Na drugi dzień od wczesnego ranka nasłuchiwałem głosów za drzwiami, ale poza krzykami dzieci nic nie można było rozeznać. Wymknąłem się więc do kasyna na śniadanie i przesiedziałem dwie godziny nad kawą z jakąś starą gazetą. W końcu zdecydowałem się wrócić. Gdy otworzyłem drzwi domu, Bianka, jej ojciec i Giulio wychodzili właśnie do kościoła. Spotkaliśmy się w połowie schodów. Giulio był bardzo wysoki i stał o dwa stopnie wyżej. Gdy mi go ojciec przedstawiał, musiałem po prostu zadrzeć głowę do góry. „Piacere" — powiedzieliśmy równocześnie. Patrzył na mnie jak spadochroniarz na tyłowego oficera, a może też jak oficjalny narzeczony na „obcego- nicy, więc umyśliłem ze odwiedzę batalionowego lekarza. Poszedłem do niego zaraz po obiedzie. Starszy strzelec podchorąży doktor Lublin miał pokój z osobnym wejściem i właśnie wypełniał raporty zachorowań wenerycznych. Był mi rad.

— Siadaj. Wyobraź sobie, pięciu nowych do batalionu „W". — Nalał dwa kieliszki.

— No to zdrowie pań — zaproponowałem. Ale Lublin myślał już o czymś innym.

— Oleś — mówił — żebyś ty wiedział kto stąd przed chwilą wyszedł!

— Pacjent? — spytałem.

Lublin stał w rozkroku w swych olbrzymich szortach i kiwał głową że nie.

— Więc kto?

Uśmiechał się tajemniczo bardzo z siebie zadowolony i rozkładał ręce.

— Kobieta?

Lublin promieniał.

— Nigdy byś nie zgadł — szepnął wreszcie.

Dopiłem wódki i spróbowałem wyobrazić sobie Lublina w roli amanta. Nie mogłem. „Nie w tych szortach" — myślałem. Poza tym rozmowa nie przynosiła mi ulgi. Pożegnałem go i powlokłem się do świetlicy Akcji Katolickiej na piętrze pałacu z maskami. Jak „Symphonie" tak i maski miały swój udział w mojej niedoli. Dawniej, w zimowe szarugi, mrugałem nieraz do nich porozumiewawczo:

— Możecie się krzywić dowoli, zacne maszkary. Dobrze mi z wami tak czy owak.

Teraz maski mówiły do mnie:

— Czego tu szukasz, przybłędo? Z innej jesteś gliny i jakże mało rozumiesz. Co wiesz o wiekach upałów i nudy, przez które dojrzewał jej wdzięk i ogień? O zabiegach pokoleń koło oliwy i koło wina? O nieszporach, procesjach, pogrzebach? Tu, na tym placyku, wystawał jej dziadek w kusej pelerynce, jak jego ojciec przed nim i ojciec ojca. O czym mówili w dialekcie z którego nie rozumiesz ni słowa? Pomyśl o ciemnych zakamarkach dialektu, o starych wyrazach, których początku nikt nie zna.

Kładłem więc rękę na mur pod maskami i szukałem ukrytego w kamieniu tętna jej krwi.

Wkrótce po wizycie u Lublina przylapałem ją w przejściowym pokoju. Samą.

— Mam coś dla ciebie z Neapolu — powiedziałem.

Była spłoszona. Odwinąłem z bibułki złoty wisiorek i położyłem jej kawy, czarno ubrany tłum. Nawet gdyby nadeszła, czy chciałaby ze mną mówić? Mimo tego krążyłem. Przypomniałem sobie że czasem chadzała na nieszpory. Co wieczór, więc, gdy tylko zaczynały bić dzwony, szedłem ku katedrze i kręciłem się koło kamiennych lwów u wejścia. Na próżno. Z desperacji, z nawyku przychodziłem nadal i czesałem wzrokiem ciżbę. Aż raz nadeszła. Krew kuła mi w skroniach, zachwyt dławił. Dobrze że była z ciotką, bo nie wykrztusiłbym słowa. Zasalutowałem więc tylko i czekałem na jakiś znak: błysk oczu, uśmiech czy mały ruch ustami. Nic. Poważna i nieobecna skinęła mi ledwo głową i weszła do kościoła. Prawie biegnąc ruszyłem na kwaterę, gnany żałobnym hukiem dzwonów.

Jakoś wkrótce potem zrobiłem rzecz, której do dziś się wstydzę. Gospodarze wyszli gdzieś wszyscy i byłem sam w całym domu. „Zaraz zaskrzypi brama — rzekłem — i wejdzie na schody Bianka. Przecież kiedyś musi przyjść". Mijały kwadranse. Cisza. Nagle zastukała kołatka. Poleciałem co tchu. Ale był to tylko listonosz, który wręczył mi dwie jednakowe koperty. Spojrzałem na adres. „Signorina, Signorina Bianca Lissi". Nazwiska nadawcy nie było, ale wenecka pieczątka zdradzała Giulia. Niosę listy po schodach, a wyobraźnia podsuwa od razu te swoje obrazki: jakaś sypialnia na Estramurale. Oparta o poduszki Bianka czyta list. Lampa rzuca światło na twarz, włosy na pościeli, reszta pokoju w cieniu. Cóż tam takiego napisał że się uśmiecha do siebie? Scena nabiera wyrazu, koloru. Biała pościel, czarne włosy, pastele twarzy. Degas. Ma nawet tytuł: „Madonna Innamorata". Ale to brzmi renesansowo. Więc wariant drugi: Bianka uczesana gładko w półprofilu. Głowa pochylona. Rafaelowski śmiały dekolt w kwadrat i uśmiech-nie-uśmiech na wargach. Goły, tłusty amorek podaje jej list. W głębi jakieś dalekie wieże, pinie i niebo modro-seledynowe jak sama szczęśliwość. Ważę listy w dłoni i myślę że jeszcze tegoż wieczora ona będzie je trzymać w swych rękach. Po chwili, podważając ostrożnie ołówkiem sklejenie otwieram je sam i zaczynam łapczywie czytać. Czegóż tam nie było! Parę bitych stron miłosnych zaklęć. I całe to ich włoskie aktorstwo. A ja myślałem że umiem toczyć bilardowe kule. „Chciałbym złożyć głowę w twych dłoniach i pla- si ciężki kamień.

— Co za wiatr — zakpiła. Potem podała mi filiżankę czarnej kawy. Zauważyłem że nosi mój wisiorek.

— Teraz proszę opowiedzieć mi ładnie o Neapolu. Zobaczyć i umrzeć. Czy tak?

— Właśnie umieram. I to codziennie.

— Jak nie przestaniesz, to sobie pójdę.

Nastraszyłem się że to zrobi i zacząłem mówić o Neapolu i Sorrento, a kiedy temat się wyczerpał, o pogodzie: upałach, spalonej trawie.

— Nie spotkałem tu jeszcze ani jednego motyla — zauważyłem — żebyś widziała łąki u nas w czerwcu!

Nazajutrz wszedłszy do swego pokoju z obiadu zastałem rój motyli. Siedziały na lampie i na oknie. Jeden podlatywał na wprost mego nosa. Wyobraziłem sobie Biankę biegającą o świcie między oliwkami z siatką na motyle. I przyszło mi na myśl że można by zaproponować jakąś wycieczkę, jakiś spacer w okolicy. Muszą mieć jakieś ruiny, jakąś górkę, gdzie się chodzi. Widziałem już, jak przełazimy razem wiejskie murki i resztę według wskazań Józia. Lecz okazało się że żadnej górki nie ma i widywaliśmy się nadal w salonie. Znów dzień po dniu bilardowe kule. Słuchała chętnie. Raz, kiedy ojciec jej z matką byli w sąsiednim pokoju, stanąłem uroczyście wyprostowany i spytałem, czy mi pozwoli pójść do nich natychmiast i oświadczyć się o nią. Zaczerwieniła się, ale potrząsnęła głową.

— Czy nie rozumiesz że nie mogę tego zrobić? Giulio cierpiał za Italię... A poza tym kocham go.

Upokorzony, z wypiekami na twarzy, zacząłem pleść głupstwa: że nie musiała całować się z nim na wprost moich drzwi, że mogli gdzie indziej. Ona zaś że przecież kochają się platonicznie, nic ponadto. Poczułem chamską satysfakcję.

trzy na nas kilku kolejarzy z peronu.

— Via, e non tornate più, porca... syknął najbliższy tuż pod oknem. Czułem nagle ogromne znużenie. I ulgę. „Przecież ja byłem chory" — pomyślałem sobie. Podszedłem do lustra na korytarzu i zrobiłem parę min: gorzką, zamyśloną, cyniczną. — Zawiadamiałem swe odbicie że Panalessandro przepadł. Skończył się. Nie wróci i nie napisze. A jeśli kiedyś zatęsknisz, Bianko, to zanuć sobie tego kujawiaka, co ci się tak podobał. — Koła rąbały na szynach swój zdyszany werbel i pierwszy raz od wielu miesięcy było mi naprawdę dobrze.

★

Po roku przyszedł list do Londynu. Pisał starszy brat Bianki, o którym jakoś dotąd nie wspomniałem. Pytał, czemu się nie odzywam, a przy końcu, między różnymi wiadomościami, wspomniał że Bianka i Giulio zerwali. Nie odpisałem. Minął znów rok i przyszedł list drugi. Tym razem od niej. O tym i owym. I że tak marnie skończyła się „nasza wielka przyjaźń". I jeszcze, że jest już całkiem zdrowa. List kończy się wiadomością że w salonie nie ma już zacieków. „C'è invece una bella volta blanca". Piękne, białe sklepienie.

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, skąd wzięło się imię Bianka. Ale i na ten list nie odpowiedziałem.

✶

Tyle. Właściwie nie bardzo wiem, po com to wszystko spisał. Leży przede mną plik kartek. Garść kwiatów? Jeśli tak, to kładę je drżącą dłonią u zdroju żywej wody, gdzie potopione leżą moje bilardowe kule. U jedynej w tamtych latach krynicy, skąd piłem nie mącąc źródła buciskami.

Aleksander Goertz.

Właśnie dlatego prosiłam, byś
zedł.
mieniłem się w słuch.
Po pierwsze: dopóki Giulio jes
ewoli, wszystko musi zostać tak
było. Po drugie, i to ci głównie
ałam powiedzieć — głos jej teraz
ł się — ja mam gruźlicę... Po-
ki — poprawiła się prędko i od-
iła głowę.
owina nie zrobiła na mnie wra-
a. Nie mogła. Bianka stała tuż,
odna i pyszna, a ja czułem taką
amionach i piersiach siłę że jesz
niewiele, a prysłyby guziki mej
ślej bluzy. Nie chciałem nic wie-
ć ani o Giuliu, ani o chorobie.

reszta kursu nie miałem już żad-
nych wiadomości i czasem nawet wątpiłem, czy Woda Żywa istnieje naprawdę. W takich chwilach wkładałem rękę do kieszeni i dotykałem klucza od jej domu.

Późnym wieczorem jednej soboty w maju otworzyłem nim bramę i wszedłem cicho do swego pokoju. Wszyscy już spali. Na drugi dzień od wczesnego ranka nasłuchiwałem głosów za drzwiami, ale poza krzykami dzieci nic nie można było rozeznać. Wymknąłem się więc do kasyna na śniadanie i przesiedziałem dwie godziny nad kawą z jakąś starą gazetą. W końcu zdecydowałem się wrócić. Gdy otworzyłem drzwi domu, Bianka, jej ojciec i Giulio wychodzili właśnie do kościoła. Spotkaliśmy się w połowie schodów. Giulio był bardzo wysoki i stał o dwa stopnie wyżej. Gdy mi go ojciec przedstawiał, musiałem po prostu zadrzeć głowę do góry. „Piacere" — powiedzieliśmy równocześnie. Patrzył na mnie jak spadochroniarz na tyłowego oficera, a może też jak oficjalny narzeczony na „absztyfikanta" (czy wiedział?). Z miejsca poczułem że go nie znoszę. Całe szczęście że ojciec gadał bez przerwy, bo żadne z nas młodych nie powiedziało ni słowa.

Zaczęły się dni udręki w Wodzie Żywej jakich jeszcze nie znałem. Żadłem nieraz do nich porozumiewawczo:

— Możecie się krzywić dowoli, zacne maszkary. Dobrze mi z wami tak czy owak.

Teraz maski mówiły do mnie:

— Czego tu szukasz, przybłędo? Z innej jesteś gliny i jakże mało rozumiesz. Co wiesz o wiekach upałów i nudy, przez które dojrzewał jej wdzięk i ogień? O zabiegach pokoleń koło oliwy i koło wina? O nieszporach, procesjach, pogrzebach? Tu, na tym placyku, wystawał jej dziadek w kusej pelerynce, jak jego ojciec przed nim i ojciec ojca. O czym mówili w dialekcie z którego nie rozumiesz ni słowa? Pomyśl o ciemnych zakamarkach dialektu, o starych wyrazach, których początku nikt nie zna.

Kładłem więc rękę na mur pod maskami i szukałem ukrytego w kamieniu tętna jej krwi.

Wkrótce po wizycie u Lublina przyłapałem ją w przejściowym pokoju. Samą.

— Mam coś dla ciebie z Neapolu — powiedziałem.

Była spłoszona. Odwinąłem z bibułki złoty wisiorek i położyłem jej na dłoni. Była to „fortuna bendata" główka z przewiązanymi oczyma. Wymamrotała jakieś podziękowanie, ale nie mogła odejść bo trzymałem koniec łańcuszka w palcach. Wtedy za drzwiami usłyszeliśmy kroki Giulia. Dziewczyna stała jak na węglach. „Masz za moją mękę" — krzyczałem oczyma i ciągle trzymałem łańcuszek. „Niech wejdzie. Niech się domyśli". Ale kroki się oddaliły. Plotąc jakieć głupstwa *á propos* zawiązanych oczu, wypuściłem prezent z ręki. Odeszła.

Czułem teraz powiew nadziei. Czyż nie była niepewna, zmieszana? Wiadomo co to znaczy. Ty tylko wyjedź, wenecki cudaku, a będę ją znowu miał dla siebie. Rzucę do szturmu bilardowe kule. Nie oprze się. Zresztą po prostu się oświadczę. A kroki w nocy? Licho wie co to było. Może mysz. Jakże wszystko było teraz proste. Nawet zapragnąłem go zobaczyć. Czekałem więc, aż w końcu wszedł. Pierwszy raz przyglądnąłem się mu dokładnie. Miał twarz fauna i kręcone ciemne włosy, starannie za-

ma podsuwa od razu te swoje
ki: jakaś sypialnia na Estramurale. Oparta o poduszki Bianka czyta list. Lampa rzuca światło na twarz, włosy na pościeli, reszta pokoju w cieniu. Cóż tam takiego napisał że się uśmiecha do siebie? Scena nabiera wyrazu, koloru. Biała pościel, czarne włosy, pastele twarzy. Degas. Mam nawet tytuł: „Madonna Innamorata". Ale to brzmi renesansowo. Więc wariant drugi: Bianka uczesana gładko w półprofilu. Głowa pochylona. Rafaelowski śmiały dekolt w kwadrat i uśmiech-nie-uśmiech na wargach. Goły, tłusty amorek podaje jej list. W głębi jakieś dalekie wieże, pinie i niebo modro-seledynowe jak sama szczęśliwość. Ważę listy w dłoni i myślę że jeszcze tegoż wieczora ona będzie je trzymać w swych rękach. Po chwili, podważając ostrożnie ołówkiem sklejenie otwieram je sam i zaczynam łapczywie czytać. Czegóż tam nie było! Parę bitych stron miłosnych zaklęć. I całe to ich włoskie aktorstwo. A ja myślałem że umiem toczyć bilardowe kule. „Chciałbym złożyć głowę w twych dłoniach i płakać". I jeszcze: „klęczeć przed tobą i modlić się do ciebie". Dalej nie mogłem. Patrzyłem bezradnie w twardy listowy papier i myślałem że jestem jak sztubak, co zapłacił fortunę za krótką, marną przyjemność. W dodatku coś mi się przypomniało. Przed wieloma laty wyjeżdżałem na święta i ojciec dawał mi do kogoś list.
— Zauważ — mówił — jest niezaklejony. Powinieneś teraz zalepić go

siednim pokoju, stanąłem uroczyście wyprostowany i spytałem, czy mi pozwoli pójść do nich natychmiast i oświadczyć się o nią. Zaczerwieniła się, ale potrząsnęła głową.

— Czy nie rozumiesz że nie mogę tego zrobić? Giulio cierpiał za Italię... A poza tym kocham go.

Upokorzony, z wypiekami na twarzy, zacząłem pleść głupstwa: że nie musiała całować się z nim na wprost moich drzwi, że mogli gdzie indziej. Ona zaś że przecież kochają się platonicznie, nic ponadto. Poczułem chamską satysfakcję.

Ale i na te

Tyle. Wł
po com to
de mną pli
Jeśli tak, to
zdroju żyw
leżą moje b
w tamtych
nie mącąc